OPIEKUN DOMOWY

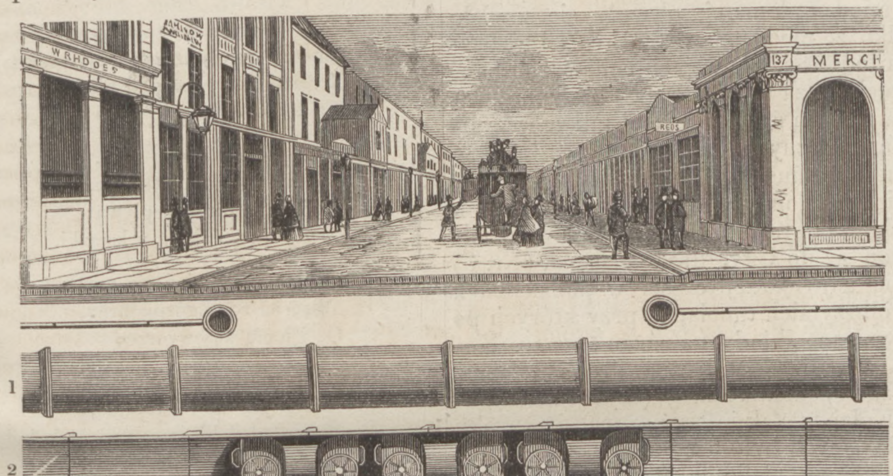
Warszawa dnia 7 Czerwca 1865 roku.

Nr 23. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

PODZIEMIA LONDYNU.

Jeżeli starożytni mieli swoje siedm cudów świata, jeżeli Francja poniekąd słusznie swą stolicę Paryż, także do nich zalicza, a my kopalnie soli w Wieliczce, za cud uważamy — to Londyn bezwątpienia, podziemia znowu swoje, śmiało na równi z innemi cudami świata kłaść może. A zasługa Londynu tem większą jeszcze, że cudne te dzieła, są wypływem jego własnej zabiegliwości, energji i przemyślności, że odznaczają się przedewszystkiem wielką użytecznością, wówczas, gdy słynne kopalnie Wieliczki, są bardziej utworem matki przyrody, a piękności paryzkie znowu nie zawsze mogą poszczycić się pożytkiem, hołdując przeważnie pysze i zbytkom.

Chcąc dać wyobrażenie naszym czytelnikom, o owych sławionych podziemiach Londynu, załączamy rysunek, przedstawiający ulicę Londyńską w przecięciu z góry na dół.



Podziemia Londynu.—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Krzyżanowski).

Na rysunku tym, widzimy najprzód ulicę Londynu, zabudowaną pięknemi gmachami, ustrojoną bogatemi sklepami i latarniami gazowemi, a ożywioną tłumem ludzi, omnibusami i innemi powozami. Na kilka stóp pod powierzchnią miasta, widać zaraz rury gazowe z bocznemi odnogami, rozprowadzającemi gaz do domów na najwyższe nawet piętra.

Dalej spostrzegamy (Nr. 1) większe rury, zwane kanałami wodociągowemi, które zaopatrywają wszystkie niemal domy w czystą wodę do picia i zabierają znowu innemi rurami, nieczystości całego Londynu, nie unosząc ich zaraz wprost do Tamizy, rzeki płynącej pod Londynem—ale o jakie dwadzieścia mil an-

gielskich poniżéj miasta, a blisko już morza. Tym sposobem, woda rzeki nie zanieczyszcza się; nieczystości przeróżne, nie osiadają na dnie i brzegach rzeki, a tem samem brzydkiemi wyziewami nie zatruwają i tak już zgęszczonego powietrza londyńskiego.

Pod kanałami wodociągowemi, urządzone są (N. 2) tak zwane tuby pneumatyczne, do przewożenia listów. W tubach tych czyli rurach, powietrze poruszone maszyną parową, wpycha lub przyciąga wózek napełniony listami, towarami, a nawet przesyłano tą drogą żywych psów. Czytelnicy nasi nie znają prawie wcale owych kolei pneumatycznych, i dla tego o bliższe objaśnienie urządzenia tych ostatnich, postaramy się niebawem. Przedmiot to bardzo ciekawy, oddaje on wielkie usługi Londynowi już od lat dwóch, i wyjąwszy tego jednego miasta, nigdzie jeszcze dotychczas w użycie wprowadzonym nie został.

Na gazach, wodociągach i drogach pneumatycznych, nie kończą się jednak podziemia Londynu; jest to cząstka zaledwie podziemnego ruchu i to ruchu jedynie nieżyjących przedmiotów: jak gazu, wody i pakunków. Brakło Londynowi jeszcze dróg dla swych mieszkańców: koleje żelazne, idące po nad domami lub między domami, okazały się w wielu razach nie tylko że niedostatecznemi, lecz i niebezpiecznemi dla ludności. Co więcéj, najbardziéj handlowna i najruchliwsza część miasta Londynu, zwana City, leży w samym środku miasta, tak że wszystkie linje dróg żelaznych, chcąc dotrzeć do tego głównego punktu, musiały koniecznie przebiegać wszystkie dzielnice londyńskie. Zapobiegając tym niedogodnościom, poprowadzono, zacząwszy z dzielnicy Paddigton aż do City, drogę żelazną, (Nr. 3) zbudowaną po największéj części w podziemiach Londynu, w olbrzymich tunelach, przy których po zakładano piwniczne składy na różne towary. Koléj ta nazywa się główną stołeczną drogą żelazną, po angielsku *metropolitan railway* (czytaj: metropolitan ralwa). Kolej ta tak jest używaną, iż w roku 1863 przejeżdżających było 9 miljonów, a w r. 1864 przeszło 11 miljonów, nieliczące pakunków.

Zdawałoby się, że Londyn mając już tę drogę, nie będzie narzekał na trudność kommunikacji. Ale to, co mogło być zbytkownem dla nas, okazało się jeszcze nie wszystkiem dla Londynu. Pojedyncze dzielnice, przerznięte tylko główną linją, zapragnęły połączyć się między sobą, i w tym celu obrabiają obecnie w Anglji, projekta nowych dróg żelaznych, położonych jeszcze niżéj, pod główną stołeczną drogą żelazną — jak to najniższa część naszego rysunku przedstawia (Nr. 4).

Zdziwicie się może tym licznym drogom i zapytacie: dla czego nam zwyczajne drogi wystarczają, i co Anglicy na owych podziemnych kolejach przewożą? Odpowiemy wam na to: że Anglicy przewożą wyroby swéj pracy, których ilość jest tak wielką, iż zwyczajne drogi już niewystarczają—i że my skoro kiedyś w pracy zasmakujemy, zapotrzebujemy niezwykłych dróg. Dziś drogi zwyczajne i nieliczne koleje żelazne wystarczają nam, bo siła pracy zbyt mała—a siła lenistwa i życia nad stan, ogromna nadzwyczaj. Cud Londyński, Warszawa u siebie mieć może, skoro naśladować zechce londyńską działalność, pracę, umiejętność i oszczędność.

DZIADEK WIEJSKI.

Anioł wiosny, niech was broni,
Dobry dziadek niech wsi strzeże!
Anioł niesie kwiaty w dłoni,
Dziadek przyniósł wam pacierze.

Coś stuknęło do drzwi chatki,
Drzwi zamknięte na zaporę;
Wyślij ojcze wszystkie dziatki,
Niech otworzą wrota, skore.

Kiedy bieda do drzwi puka,
Ślijcie litość jéj przez dziecię;
W jego sercu ta nauka,
W wonnéj cnoty, wzrośnie kwiecie.

A o biedę zawsze łatwo!
Więc się w litość wspomódz trzeba....
Wyjdźno ojcze, razem z dziatwą,
Tu gdzie widać ten pas nieba.

Po nad łąki, po nad łany,
Już się słońce kwietnie złoci;
Coś o wiośnie śnią bociany,
Coś już wstaje liść stokroci.

Rój skowronków śpiewa górą,
Biegną trzody, zboże wschodzi;
I nasz dziad, już pod figurą,
Co to po chleb, do wsi chodzi.

Torba stara, broda siwa,
Suknia w różne łatki, prążki,
Za kolana mu przepływa;
A godzinki śpiewa z książki.

On już stary, siać nie może;
Więc na rękę gospodarną,
Co i jemu kęs wyorze,
Swéj modlitwy rzucił ziarno.

By oddalić mór i trwogę,
Wzrost dać kłosom, śmierć kąkolom;
Za ten chleb, co wziął na drogę,
Straż aniołów przyzwał polom.

Socha, posiew, wół, płużyce,
Pracowniki widne żniwa;
Ale ziemia tajemnice,
Urodzaju głębiéj skrywa.

Widzim w górę drżące kłosy,
Lecz nie widzim, jak je składa
Promień słońca, kropla rosy,
I wiejskiego pacierz dziada.

A więc ojcze, kiedy z nieba
Anioł wiosny błyśnie górą;
Ty ślij dziecię z kęsem chleba,
Niech go złamie pod figurą.

CHATKA POD LASEM.

(*Ciąg dalszy.*—Patrz Nr. 22).

Na drugi dzień, a była to niedziela, Walek szedł do miasta o kilka mil odległego, miał tam brata. Dawno się już nie widzieli. Walek wciąż był przy ojcu, i pomagał mu w ciesielce aż do śmierci; Błażej zaś starszy, z młodu poszedł do miasta do terminu, i podobno nieźle mu się powodziło, ale znać o sobie nie dawał. Walek nie narzucał się bratu, ale teraz, kiedy się miał żenić, miłoby mu było, że-

by brat starszy posłużył mu na weselu i pobłogosławił i ucieszył się z nim razem. Szedł więc ochoczo do miasteczka.

Mieścina to była niewielka: kościół, apteka, sklep i urząd w piętrowéj kamienicy, nadawały jéj tę nazwę, bo zresztą domy były drewniane, niskie i liche. Walek przeszedł kilka uliczek miasta, dopytywał się o Błażka Walczaka, ale mu nikt nie umiał powiedzieć o takim człowieku. Walek już zląkł się, czy przypadkiem jego brat nie umarł, gdy jeden z domyślniejszych przechodniów zagadnięty przez niego rzekł:

— Może o Błażeja Walczyńskiego, pytasz się człowieku?

— Nie, wielmożny panie, o Błażka Walczaka mego brata.

— A, to ten sam Walczyński; idź prosto tą ulicą, koło rogatki na lewo przedostatni dom; nad drzwiami wisi wymalowany but, tam on mieszka.

Walek się skłonił i poszedł do wskazanego domu. Wszedł do małéj nizkiéj izby, zarzuconéj do połowy narzędziami szewckiemi. Przy oknie nizki stoliczek, obok niego dwa stołeczki wklęsłe, na stoliczku: świeczka, szydła, noże, młotek i inne narzędzia szewckiego kunsztu; pod stolikiem kupa starych butów i trzewików, a na oknie para butów nowych, wyszwarcowanych, szklących, widocznie świeżo ukończonych.

Drugą połowę izby zajmowały dwa łóżka kolorowemi, perkalowemi kołdrami nakryte, a w głębi wisiały rzędem naczynia gospodarskie. Koło pieca, stała średniego wieku kobieta, nie brzydka, ale niemiłego wejrzenia. Zaglądała do garnków i mięszała zasmażkę, a małe, nieumyte i nieuczesane dziecko, w brudnéj koszulinie, siedziało około niéj na ziemi, bawiąc się jabłkiem. Z całego opisu widzicie, że mieszkanie Błażeja czyli raczéj pana Błażeja dość było liche; Walkowi jednak ogromnie bogatém się wydało; z podziwem patrzał na mnogość obrazów nad łóżkami, i nie mógł wierzyć, że tu jego brat mieszka.

— Niech będzie pochwalony — rzekł nieśmiało stając przy drzwiach.

— Na wieki—a czego tam?—spytała go opryskliwie kobieta od pieca.

— Czy tu Błażek Walczak? zagadnął Walek.

— Kto? kto?—tu żaden taki nie mieszka, tu mieszka pan Błażéj Walczyński majster szewcki, rozumiesz ty chamie jakiś—mówiła jejmość czerwona na twarzy od oburzenia i gorącego pieca, przyskakując z warzęchą w ręku ku niemu.

Walek skłonił się do nóg jéj, czem ją trochę udobruchał i rzekł:

— Wybaczcie, może mi źle ludzie powiedzieli— i zabierał się do wyjścia.

— A czegóżeście to chcieli gospodarzu? —spytała znowu jéjmość, dogadzając tem pytaniem kobiecéj ciekawości.

— Bo widzicie, rzekł Walek zatrzymując się we drzwiach: Błażek to mój brat, więc....

— Co? co? ty chamie śmiesz oczerniać mojego męża—i rozgniewana baba chwyciwszy za drzwi, chciała je zatrzasnąć przed nosem osłupiałego chłopa, gdy w sieni pojawił się pan Błażéj w świątecznem ubraniu. Od czegoby tu zacząć opis tego ubrania, by zadaniu godnie odpowiedzieć? Najwłaściwiéj będzie od wysokiego białego kapelusza, dobrze na lewe ucho nasuniętego, pod którego cieniem kryła się poważna, trędowata nieco twarz pana majstra, co pokazywało, że pan majster nie należał do towarzystwa wstrzemięźliwości. Szkoda, że przy tym opisie głowy, nie mogę wam zaraz pokazać czuba wypomadowanego, nad czołem pana Błażeja—teraz niestety kapeluszem zasłoniętego. Oczy małe, bure czaiły się pod ukośnemi brwiami, strzegąc z obu stron potężnego nosa, zapchanego tabaką; usta zasznurowane w kółko, dawały twarzy właściciela powagę wielką, od nosa do ust wązki pasek wąsów, służył za miejsce spoczynku zlatującym pyłkom tabaki, i wydawał się jak wielki cień od nosa. Po bokach twarzy stojące wykrochmalone kołnierze obwiązane żółtą chustką w czarne kropki, pilnowały ruchów pana Błażeja, i nie dozwalały mu zapomnieć o przybranéj powadze. Żółta kamizelka w kraty, niebieski długi surdut z wązkiemi rękawami, z kieszeniami z tyłu, z których z jednéj wisiał wdzięcznie koniec czerwonéj chustki od nosa; białe pantalony, uzupełniały resztę ubioru pana majstra. W ubiorze takim pan Błażéj, tylko w niedzielę i święta zwykł się światu prezentować, i to tylko przed południem. Po południu tak dla niego jak i dla innych panów majstrów miasteczka, zaczynała się druga epoka w szynku „pod Pieczoną Gęsią,” która to epoka w miarę pełności kieski, przeciągała się za blaumontag na dni kilka. W téj drugiéj epoce, w któréj pan Błażéj dla wyspania tylko zaglądał do domu, i urzynał sobie chrapaka wśród głośnych przekleństw krzykliwéj połowicy, twarz jego i ubiór wielkiéj doznawały zmiany. Z twarzy uciekała powaga, a natomiast właziły na nią fioletowe sińce, podarunki jego kieliszkowych kamratów; czub rozwiewał się w rozczochraną czuprynę, białe pantalony przybierały coraz to ciemniejsze barwy, niebieski surdut był pełen plam i pomięty. W takiem przeobrażeniu i z pustą kieszenią, wracał koło środy lub czwartku do domu, by w koszuli, fartuchu niebieskim, zacząć przy warsztacie trzecią epokę: pospiesznéj pracy, bo żona woła o pieniądze, bo u żyda na tabliczce za szafą, wisi godne nazwisko pana majstra, z dopiskiem długu zaciągnionego.

Mniéj więcéj wszyscy majstrzy na te trzy epoki dzielą życie swe—pan Błażéj nie mógł występować przeciw ogólnemu zwyczajowi.

Szczęściem dla niego, a nieszczęściem dla Walka, że go ten zastał w pierwszéj epoce. Walek nie poznał swego brata, i usunął się przed wchodzącym z uszanowaniem.

— Czego to?—spytał Błażéj.

— Patrzajno—wołała zaindyczona jejmość—ten oberwus przyznaje się do twego pokrewieństwa, mówi, że twój brat... a widzisz go, za pan brat świnia z pastuchem.

Błażéj przypatrzył się Walkowi uważniéj, skrzywił się niechętnie i rzekł:

— Czegóż ty tu chcesz?

Wtoczył się do izby, a obracając się i widząc, że Walek zgłupiały nie śmie wejść za nim—rzekł:

— No, chodźże gamoniu—przecież nie będę w sieni się witał.

Bał się pan Błażéj bowiem, by w sieni nie podpatrzył go krawiec Pętelka, z drugiéj strony sionki mieszkający, i niemiał powodu obgadywać go: „pod Pieczoną Gęsią” i szczypać go za jego chłopskie pochodzenie, z którem pan Błażéj starannie się taił, nawet przed własną żoną.

Walek zachęcony słowami brata, wszedł za nim do izby i rozłożywszy ręce do uścisku.

— Błażku—zawołał—Błażku witajże, ja cię tyle lat już nie widział.

— Powoli głupcze, powalasz mi kamizelkę i kołnierzyki, a że też to z ciebie grondal był, jest i będzie.

Walek znowu stracił odwagę; serce co się tak rozradowało do brata, zziębło nagle takiem przyjęciem, i Walek spuścił ręce zakłopotany i zafrasowany.

— No i czegóż chcesz? pocóż przyszedłeś? pytał Błażej rozbierając się ze swéj elegancji.

— Ja przyszedłem—bełkotał Walek mnąc czapkę w ręku i stojąc przy drzwiach—ja chciałem prosić was na wesele.

— Tak, wam chłopom to się zdaje, że my tu w mieście mamy czas na hulanki, tak jak wy na wsi.

— I u nas jest ciężka praca, ale to przecie nie grzech raz w życiu się zabawić, i wy panie bracie moglibyście se ta odpocząć—ta to dla brata uciecha i przysługa.

Pan Błażej pomyślał, chamska wódka zapachła mu pod nosem i rzekł:



Bełkotał Walek mnąc czapkę w ręku i stojąc przy drzwiach.
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Gorazdowski).

— To widać jakąś bogatą kmiotkę złapałeś?

— Bogać tam kmiotkę, ot dziewczynę taką biedną jak i ja, ale uczciwą i pracowitą.

— I gdzież ty ośle masz rozum, zawołał znowu opryskliwie pan Błażej — niedość ci jednéj biedy, chcesz dwóch naraz. I wam się żenić?

— Bóg pomoże i ludzie...

Błażej te ostatnie słowa wziął do siebie i zląkł się, że brat będzie od niego żądał pomocy.

— Ja ci nic dać nie mogę, ja złota nie kopię—rzekł z pośpiechem—pracuj tak ciężko jak ja pracuję, to będziesz miał, i nie będziesz potrzebował żebrać.

— Panie bracie—rzekł Walek—ta to ja nieżądny waszego grosza, jeno serca; ja nie chcę od was nic, tylko, cobyście nie gardzili mną i przyśli na weselisko.

— I poco? Poco tobie spraszać, kiedy w domu bieda.

— To też ja nie na dostatki proszę, ale choćby w kościele ludzie zobaczyli, że człekiem rodzina niepogardza. Wszyscy uciekają od biedy jak od psa, i nie ma komu świadczyć o ślubie przy ołtarzu—to i wstyd i żal dla człeka. Zbierzcie się panie bracie, i tu Walek obiął go za nogi. A i wasza imość może nie pogardzi i zrobicie tę usługę bratu.

— Czego jeszcze, he, zamruczała pani Błażejowa, nalewając rosół na talerze, nie mam co lepszego robić, tylko się po chłopskich weselach włóczyć i to jeszcze jakich!

— Ja warsztatu dla twego wesela opuścić nie mogę; chcesz się żenić, to rób to głupstwo, ale mnie daj święty pokój!

Walkowi łzy się cisnęły do oczów, obtarł je rękawem i myślał. Błażej tym czasem przeżegnawszy się wziął łyżkę.

— Ha, to ostańcie z Bogiem, rzekł smutno chłop i zabierał się do odejścia. Błażeja tknęło trochę sumienie. Nie odchodźże przecie, zjesz co; matko, daj mu łyżkę rosołu.

Jeszcze co, jak im zaczniesz dawać, to się tu z całej wsi będą złazić do ciebie, mruczała baba i nalawszy ze złością troszkę rosołu na miskę, rzuciła ją na ręce Walka.

— Masz, zryj.

Walek jadł, a łzy padały mu na miskę i nie mógł trafić łyżką do ust, tak mu się ręce trzęsły od wzruszenia. Błazej był nieswój; chciałby co prędzéj pozbyć się brata, i znowu nie mógł go tak wyganiać. Milczał więc, tylko ruchliwa gęba pani majstrowéj nie mogła się uciszyć i pomrukiwała wciąż. Po chwili pan Błażej począł sobie przypominać gospodarzy we wsi i pytał o nich Walka. Walek, siedząc przy drzwiach na szewskim stołku odpowiadał, ale łzy tamowały mu odpowiedzi, i dławiła go nieczułość brata i jego strawa rzucona jak żebrakowi. Błażej uważał to i namyślał się, a choćby ta wreszcie i iść na to wesele? A z drugiéj strony perswadował sobie, że to by był nie honor dla takiego majstra przyznawać się przed światem do chłopskiej kolligacji i to takiéj nędznej. Po obiedzie więc wstawszy rzekł:

— Tak, tak, ja choćbym chciał, to nie mogę i niewypada mi jakoś. Bezemnie jednego obejdzie się wesele.

— Ale wy Błażeju mi jeden na świecie; ni ja rodziny, ni ja nikogo...—No, no, nie nudź mnie dłużéj. Iść nie mogę i basta; co mogę ci dać, to dam, sam nie mam wiele.

I wcisnął mu trzy złote w rękę.

— Masz i ruszaj z Bogiem.

— Daj, daj—mruczała znowu jejmość, tłukąc się talerzami; a jak sam pójdziesz z torbami, to ci nikt nie da na obwinięcie palca.

Małżonek nic nie odpowiedział swéj połowicy, jeno podług zwyczaju wybierał się „pod Pieczoną Gęś,” a Walek wracał do wsi. Wracał z sercem ściśnionem od bólu, z mokremi oczyma, a w ręku ściskał podarunek brata, który go palił, bo w tym podarku czuł obojętność braterską, czuł pogardę z jaką mu dawał tę jałmużnę, ale nie rzucił pieniędzy. Bo takiemu biedakowi, ciężkim grzechem by się wydało rzucać takie bogactwo, a zwłaszcza, że w tych pieniądzach widział jedyną oznakę braterskiéj miłości. Szedł a dumał sobie, że nędza tak jak cholera odstrasza ludzi. I od jego tatusia, gdy na tę choro-

bę umierał, tak uciekali ludzie. I nie mógł sobie w poczciwéj duszy wytłumaczyć, czemu tacy źli ludzie. To znowu przypomniał sobie Wiktę i wyobrażał jak ją zmartwi, gdy wróci i powie: wszyscy od nas uciekają Wiktusiu.

(Dokończenie nastąpi).

KAZIMIERZ BRODZIŃSKI.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 22).

Szczupła resztka ojcowizny wyczerpała się niebawem i Kazimierz musiał na życie zarabiać korrepetycjami. Podwojona przez to praca nie zdołała jednak w nim osłabić pociągu do poezji i zagłuszyć serca tęskniącego zakochaniem. Próżnią, jaką uczuł w około siebie po rodzinnem życiu w Wojniczu, zapragnął Kazimierz zapełnić przyjaźnią. „Właśnie w tym czasie — są to jego własne słowa—uczułem potrzebę nie tak wspólnych rozmów o poezji, jak przyjaźni, które to uczucie w młodym wieku tak jest żywe i zajmujące. Myślałem i wierzyłem, że każda przyjaźń zawiązana trwać powinna wiecznie i żyć poświęceniami. Młodzieniec jeden, Karpiński; samem nazwiskiem, zwrócił na siebie moją uwagę, choć nie był krewnym poety i do poezji najmniejszego nie czuł powabu. Powolny, cichy, jak anioł niewinny, zajął całe me serce, zkąd ten tylko zysk odniósł, iż go gwałtem trapiłem, aby, odpowiednio do imienia, był poetą. Dobroć jego czyniła co mogła; jam zachęcał, poprawiał, ale to nie szło. Nakoniec znalazłem przyjaciela, jakiego sobie egzaltowana moja imaginacja wystawić mogła. Był to syn profesora, Parczewski Karol, o parę i więcéj lat młodszy odemnie, pobożny, pracowity, w moich oczach piękny jak anioł, zawsze uniesiony i pełen do poezji skłonności. Zdarzenie zbyt smutne, było początkiem najgoretszéj naszéj przyjaźni. Poszło nas kilkunastu do rzeki Biały kąpać się, gdzie kolega nasz Przygodziński daleko się od reszty oddalił i niepostrzeżony od nikogo utonął. W kilka dni dopiero znalezione jego ciało, już okropnie zeszpecone, przywieziono do domu. Całą noc po tym widoku nie spałem, i papier łzami polewając, napisałem elegję na śmierć nieszczęśliwego; jedyna to była moja poezja, którą spółkolegom przeczytałem, a która ich wszystkich zajęła, jako wynikła ze zdarzenia, które na wszystkich wrażenie uczyniło. Nawet profesorowie pochwalili tę pracę moją, a młody Parczewski ze łzami rzucił się w moje objęcia niemogąc słowa wymówić. On przyprowadził do mnie nieszczęśliwą matkę Przygodzińskiego, która dowiedziawszy się o okropnym losie syna, z prowincji przybyła. Ona rzewnie płacząc ściskała mię, według jéj wyrazów, *jak syna*, i dziękowała za biedne wiersze o nim, które ją doszły. Mało kto może uwierzy, iż to był dla mnie pierwszy uścisk i kobiety i matki, co było u mnie rzeczą nadzwyczajną, żem płakał jak małe dziecię, myśląc, iż nie mam matki, któraby na mój zgon była podobnie tkliwą.”



PomnikBrodzińskiego uPP.Wizytek w Warszawie. (Rysował Tegazzo). (Wyciął na drzewie Regulski).

Ucząc się i ucząc drugich, nietylko nauk szkolnych ale nadto, jak widzimy, i sztuki pisania wierszy, Kazimierz znalazł jeszcze dosyć czasu na czytanie książek, mianowicie poetycznych. O polskie ówwczas było bardzo trudno, a nawet były one przez władzę szkolną surowo wzbronione, ale na niemieckich nie brakło młodemu poecie, który też dobrze zapoznał się z niemiecką poetyczną literaturą, rozczytując się w Szyllerze, Göthem, Wilandzie i innych. Jednego razu wpadły mu w ręce świeże utwory wiedeńskiego poety Collina, będące silnym wyrazem ówczesnych uczuć niemieckich. Kazimierz porwany gorącem tych uczuć, szybko a gładko przełożył wiersze Collina, który to przekład doszedłszy do rąk władzy, zjednał mu u starosty cyrkularnego i zwierzchności szkolnéj, uznanie. Pan starosta zrobił mu nawet nadzieję, że jako uczeń i tak zdolny, wskutek jego przedstawienia, uczynionego do Wiednia, może być, iż zostanie przyjęty do Terezjanum na koszt cesarski. Brodziński żądny nauki, któréj dotąd nigdy swobodnie oddać się nie mógł, zmuszony będąc zarabiać na chleb powszedni, cieszył się dosyć tą nadzieją, gdy wtem zaszłe wypadki polityczne, inny kierunek myślom jego nadały.

Po utworzeniu bowiem Księstwa Warszawskiego, dnia 20-go lipca 1809 r. zaciągnął się w Krakowie do pułku artyllerji pieszéj, i trafem dostał się do kompanji, któréj dowódzcą był późniéj Wincenty Reklewski, przyjaciel i kolega Andrzeja Brodzińskiego, człowiek wielce wykształcony i sam poeta. Nawet w ciągu wojskowéj służby, nie porzucał Kazimierz ulubionych swoich zatrudnień, i cały czas pozostający mu od służbowych obowiązków poświęcił poezji, a nawet tutaj właściwie dopiero, mianowicie stojąc dość długo z kompanją swoją, załogą w Modlinie, mógł się swobodniéj zapoznać z literaturą ojczystą. Oprócz tego nie zaniedbywał i literatur obcych, mianowicie niemieckiéj; tłumaczył i tworzył oryginalne drobniejsze poezje, wreszcie spisywał dziennik swego życia wojskowego, z którego to dzienniczka zaledwie kilka kartek nas doszło. Podczas kampanji 1812 roku, którą sam osobiście przebył szczęśliwie, 4 listop. mianowany został porucznikiem. Nieszczęścia jakie go dotknęły po téj strasznéj kampanji, opisał w jednym z pozostałych ustępów dzienniczka wojskowego.

(d. c. n.)

WIOSENNI GOŚCIE.

(*Dokończenie.*—Obacz Nr. 22).

Coraz więcéj zielenieją i ożywiają się lasy. Świegocze dziatwa leśna, gruchają turkawki; słowika jeszcze nie słychać, ale odzywa się już kukułka. Któż nie zna jéj głosu, kto nie zapamięta z lat dziecinnych, owéj niewinnéj radości, jaką obudza to *ku-ku*, po raz pierwszy posłyszane w piękny poranek kwietnia, z głębi gaju, w którym mało jeszcze zielonéj trawki, ale już zakwitły: sasanki i fijołki? *Ku-ku* powtarza ptaszek, jakby wzywał do siebie ciekawe dziecię, aby się z nim bliżéj zapoznało, ale skoro podejdzie do miejsca zkąd głos wychodził, ostrożna kukułka zrywa się, i przelatując z drzewa na drzewo, daleko, daleko prowadzi za sobą małego wietrznika. Wraca on nakoniec, a choć kukułki trudno mu dopędzić i zobaczyć, to przecież rad, jeśli ma wówczas przy sobie brzęczące pieniążki, bo to niby wróżba, że je rok cały mieć będzie. Kukułka równa się prawie gołębiowi, barwę ma z wierzchu i po bokach jednostajnie popielatą; piersi i brzuch białe, ciemnemi, poprzecznemi prążkami ozdobione; nóżki złocisto-żółte o 4-ch palcach, z których 3 naprzód, a 1 w tył jest zwrócony. Barwa upierzenia nadaje jéj niejakie podobieństwo do drapieżnego ptastwa; ztąd między ludem powstało przesądne mniemanie, że kukułka na zimę w krogulca się przemienia. Kukułka lubi życie samotne i nie łączy się w pary; kilku samców upędzają się za jedną samicą. Ptak, który woła *kuku*, jest samcem, samica wydaje głos krzykliwy, nieco do śmiechu podobny. Stanowi ona ciekawy wyjątek w gromadzie ptastwa; gniazd bowiem nie buduje i nie wysiaduje potomstwa, lecz składa jajka w gniazda małych owado-żernych, jako to: pliszki siwéj, piegży i innych. W ciągu 6-ciu tygodni zaledwo 10 jaj znosi, każde z nich składa na ziemi, a potém w dziób ująwszy po cudzych gniazdach rozposaża. Wylęgłe kukułczęta, zwykle większe i żarłoczniejsze od piskląt prawych właścicieli gniazda, często im pokarm wydzierają, kaleczą i na ziemię strącają; ztąd w przysłowie poszła niewdzięczność kukułki. Naturaliści rozmaicie starali się wytłumaczyć taką niezwyczajność w obyczajach kukułki, co do przewychowywania potomstwa, trudno jednak znaleźć prawdziwą jéj przyczynę. Znakomity nasz, a niedawno zgasły ornitolog, hr. Konstanty *Tyzenhaus*, mniema, że wielomęztwo, którego jedynym między owadożernemi ptakami przykładem jest kukułka, stanowi główną przeszkodę w wysiadywaniu przez nią jaj; wiadomo bowiem, że same tylko ptaki w jednożeństwie żyjące, w wysiadywaniu i karmieniu potomstwa kolejno się wyręczają. Kukułka żywi się wyłącznie owadami, liszkami i gąsienicami, których mnóstwo wytępia, a przezto gospodarzom nie małą robi przysługę. Ponieważ zaś wiele gąsienic ma na sobie włosistą odzież, włoski owe przyczepione do żołądka kukułki były powodem do błędnego mniemania, jakoby tenże żołądek był wewnątrz włosami porosły.

Ale otoż zabłysła nakoniec wiosna, w całéj świetności swojéj. Pozieleniały gaje, dęby rozpuszczają już liście i drobne swe kwiatki. Po ciepłym wieczornym deszczu, wyjaśnia się niebo. Ostatnie promienie słońca, złocą lazurowe przestwory zachodu. Zmrok pada; gwiazdki, jedna po drugiéj, coraz gęściéj się ukazują, aż nareszcie tysiące ich iskrzy się na pogodnem niebie. To noc Majowa! Powietrze łagodne i ciche oddycha zapachem czeremchy i balsamiczną wonią topoli. Słowiki ozwały się zewsząd uroczą, godową pieśnią. Wtórują im echa, roznosząc daleko cudne brzmienia ich głosu. Na przyległéj łączce kracze derkacz, jednostajnym, skrzypiącym tonem, grzechoczą żabki, poświstują żółwie. O, jak piękny i rzewny jest ten koncert nocny! Choć co wiosna się powtarza, zawsze przecież nowy ma urok. W istocie, gdyby śpiewy ptastwa nie ożywiały lasów i pól naszych; zieloność liścia i rozmaitość kwiecia, nie zdołałyby im nadać tego wdzięku i życia, któremi co wiosna jaśnieją. Niech umilkną pieśni ptasząt, niech żadne z nich nie ukaże się w powietrzu; niech kos nie odezwie się w téj leśnéj gęstwinie, skowronek nie zaśpiewa, nad tem świeżo zieleniejącem zbożem; słowik nie zanuci uroczéj i tęsknéj piosnki, w tych zaroślach nadwodnych, a smutną i czczą stanie się wiosna; najpiękniejsze ogniwo, zerwie się w harmonijnym związku Przyrody. Są lasy w Południowéj Ameryce na sto mil wzdłuż ciągnące się, a w środku nich żaden ptak nie mieszka. Podróżni, którzy przebywali owe straszne puszcze, nie mogą znaleźć wyrazów na opisanie przykrego i smutnego wrażenia, jakie sprawia to głębokie, niczem nieprzerwane milczenie natury. Skoro zbliżyli się już do brzegu lasów, nawet nieznośny krzyk papug, wydał się im przyjemnym.

A przecież mało kto oszczędza miłych śpiewaków wiosny; gniazdka ich są wystawione na łup swawolnéj gawiedzi, która bez wszelkiego celu niszczy jajka, a młode ptaszęta dla kilku marnych groszy więzi i do miast na sprzedaż wynosi; ze zgrozą przychodzi wspomnieć, że są i tak okrutni, co dla pobudzenia ptaszka do częstszego śpiewania, pozbawiają go wzroku. Do miejsc obfitujących w słowiki, wyprawiają się co wiosna z dalekich prowincji północnych zgraje przemysłowców, którzy łowią ich mnóstwo, i do miast po dwieście i więcéj sztuk na sprzedaż sprowadzają. Smutno powiedzieć, że nawet niektórzy właściciele ziemscy za pewną opłatą, pozwalają plądrować lasy swoje i łowić w nich słowiki; a ten nędzny handel pozbawił już niejedną okolicę najmilszego jéj wdzięku. Takie wyniszczanie śpiewającego ptastwa, prócz przykrości, jaką sprawia umiejącym cenić ten dar Boży, ogólną wszystkim wyrządza szkodę; wiadomo bowiem, że wszystkie gatunki tych ptasząt, karmiąc się owadami, wyniszczają mnóstwo szkodliwych jestestw. Słowik, piegża, czyżyk, pliszka, zięba, szczygieł, kos, drozd i wiele innych, znakomite oddają przysługi gospodarstwu leśnemu, polnemu i ogrodowemu; prócz codziennéj konsumcji, jedna para, w czasie wysiadywania jajek, znosi do swego gniazdka po sto kilkadziesiąt tysięcy szkodliwych gąsienic, jak o tem przekonały niewątpliwe spostrzeżenia.

Szanujmy więc śpiewaków wiosny i starajmy się przeszkadzać ich wyniszczaniu, oświecając tych, którzy nie wiedzą co czynią. Niech kos żyje wolny w leśnéj gęstwinie, skowronek buja swobodnie nad zieleniejącem zbożem; niech słowik nie w klatce, lecz w rodzinnem swem śpiewa gniazdku.—Kiedyś, wśród cichéj majowéj nocy, usłyszymy za to piosnkę wdzięczności i wspomnienia!

WSPOMNIENIE z MALBORGA.

W maju o 6-éj rano przelecieliśmy jak szaleni przez most żelazny, rozciągnięty nad naszą starą Wisłą pod Tczewem, którego majestatyczny widok podaje załączona na ostatniéj stronicy rycina.

Zielone płaszczyzny Żuław, okryte bujną roślinnością, rozciągały się na około; na nich tu i owdzie pasły się gromady pysznego tłustego bydła; tu i owdzie widzieć można było równie opasłą niemkę, dźwigającą na ramionach dwie konwie mleka, które dopiero co odebrała krowom; schludne domki rozrzucone po przestrzeni, otoczone ładnemi ogródkami, pełnemi bzów, obite naokoło sztachetkami malowanemi, wybielone, wymuskane z tą prawdziwie niemiecką drobiazgowością, robiły dla oka miły widok, ale za serce jakoś wcale nie chwytały; te drzwi szczelnie zamknięte, to drobiazgowe ogrodzenie, ten czarny kudłaty pies na łańcuchu przy drzwiach, pokazywał, że tu nie pragną gości, że tu długo stukać musisz, zaczem ci otworzą; dla tego

też nie bierze cię wcale chętka zapukać do takiéj chaty, a jeżeli konieczność cię do tego zmusi, i zapukawszy przemówisz głosem ludzkim, to ci odpowiedzą, nibyto po polsku, ale takim złamanym językiem, że ci zaskrzypi w uszach, jak gdyby ci kto tępym nożem pociągnął po sercu; a jednak to dawni Słowianie!

Niedługo przelecieliśmy Nogat i byliśmy pod murami starego Malborga, téj siedziby dumnego zakonu, co skłamał swojemu przeznaczeniu, co zamiast nieść w ziemie pogańskie światło miłości bliźniego, i zatknąć na swoich znamionach różczkę pokoju, niósł krwawe pochodnie łupieży i rozbojów, wysysał krew i złoto nieszczęśliwego a walecznego narodu, i coraz więcéj panosząc się rosł ciągle w bogactwa i występki [1]. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

RADY DLA PŁYWAKÓW.

Sądzimy, że będzie rzeczą użyteczną w obecnéj porze kąpielowéj, pomówić nieco o niebezpieczeństwach, które corocznie w tym czasie zawsze pewną liczbę ofiar sprzątają.

W wielu naszych wodach, znajdują się rośliny wodne, czego naturalnie w Wiśle nie ma. Rośliny te często są długie, wązkie, a pomimo tego trudne do zerwania. Są to prawdziwe sznurki, które wznoszą się z głębi wody i nachylają się wszystkie w jednym kierunku, ulegając zarazem ruchowi przez najmniejsze poruszenie wody, sprawionemu. Rzućcie w pośród nich kamień, uderzcie ręką w wodę, a zobaczycie te rośliny dotychczas nieruchomie stojące, że one się zaczną poruszać, wić wężykowato we wszelkie kierunki. Jeżeli teraz pływak niedoświadczony, w niebezpieczeństwie będący, dostanie się pomiędzy te rośliny, to myśląc, że tu znajdzie ratunek, spotka się z śmiercią nieochybną.

Za lada pierwszem swem poruszeniem, czuje on, że go jakieś nici chwytają za ręce, za nogi, za szyję, za całe ciało. Myślał, że w tem miejscu jest płytko, gdyż rośliny widział, tymczasem tu woda jest na trzy, cztery i więcéj nawet łokci głęboka. Przerażenie poczyna go ogarniać, podwaja więc usiłowania, aby się z tych niebezpiecznych miejsc wydostać, a tu nowe więzy obwijają mu się tem więcéj koło ciała. W takiem położeniu znajdujący się człowiek, nie wie co robić, traci głowę, wysila się bezskutecznie. Przestaje już być człowiekiem pływającym, a jest topiącym się i konwulsyjnie szukającym nadarmo pewnego ratunku. Musi więc zginąć i najczęściéj też ginie, i często, kiedy woda potem uspokoi się, rośliny te wodne opasane około trupa zdają się chcieć jeszcze dłużéj zatrzymać swą zdobycz.

Uczucie, którego się naprzód doznaje w zetknięciu się z temi długiemi sznurkowatemi roślinami, jest bardzo nieprzyjemne. To pierwsze wrażenie trzeba przyznać, wywiera bardzo niekorzystny wpływ na trzymanie się pływaka. Jestto skutek raczéj moralny aniżeli fizyczny, a jest rzeczą bardzo ważną umieć wtedy panować nad sobą. Potrzeba przezwyciężyć prędko to uczucie nieprzyjazne, jakie się w nas wyradza, w zetknięciu się z temi wijącemi roślinami, a przytem zawsze lepkim klejem pokrytemi. Następnie należy się starać utrzymać na powierzchni wody, gdyż im więcéj będziemy się pogrążać, tem prędzéj trafimy na te rośliny obficiéj w głębi będące.

Rzucona deska jest w podobnéj chwili przewybornym środkiem ratunku, ponieważ jest wystarczającą do utrzymania się wtedy poziomo, i można za pomocą lekkich poruszeń rąk oddalić się z tych miejsc niebezpiecznych.

Ale rzadko się to zdarzy, aby nam kto mógł w takim razie rzucić deskę, potrzeba sobie przeto w inny sposób radzić. Otóż najlepszym środkiem jest pozostać na brzuchu na wodzie, i oddechnąwszy dobrze zanurzyć głowę w wodzie. W takiéj pozycji człowiek, jakiejkolwiek on będzie natury, czy szczupły i chudy, czy też otyły, jest w stanie dość długo pływać, tak jakby miał z sobą pas korkowy. Potrzeba tylko, aby umiał zachować zimną krew i przytomność całą, a przytem aby od czasu do czasu wznosił głowę dla wolnego oddechnięcia. Przy lekkiem poruszaniu rękami i nogami, można się wtedy oddalić z tego niebezpiecznego miejsca.

Wiry są drugiem niebezpieczeństwem dla niedoświadczonych pływaków, a jest ich dosyć na Wiśle, a jeszcze więcéj na niektórych innych naszych rzekach, jak na Wieprzu. Wir stanowi miejsce na rzece, gdzie woda jest w poruszeniu nadzwyczaj szybkiem, na około się kręcącem. Środek takiego wiru zawsze jest wklęsły nieco na podobę lejka, to jest, że na powierzchni wirująca przestrzeń wody jest często bardzo obszerna, ale wgłąb' coraz się zwęża zupełnie w postaci lejka.

Jeżeli kto z pływających dostanie się w taki wir, to niechże wie, że wszelkie starania są naprożne, aby się oprzeć jego działaniu kręcącemu. Naprożne będą wszelkie usiłowania, aby wydobyć się z tego kręcącego miejsca, często z przerażającą szybkością. Raz dostawszy się w taki wir czyli *kręciak*, niedoświadczony pływak będzie robił straszne wysilenia, kręcąc się ciągle jak w zaklętem kole, z którego nie wyjdzie, a wysili się daremnie i zginie. Człowiek co się dostanie w wir, niech się tylko stara nie utracić przytomności, niech się nie rzuca naprożno, tutaj go tylko sam wir ocalić może, i ocali zawsze z pewnością, jeżeli mu tylko zostawimy wolność działania.

Patrzmy bowiem co się stanie jeżeli w taki wir czyli kręzak wrzucimy jakie ciało, np. kawał drzewa. Otóż zobaczymy, że przedmiot ten kręci się w kółko przez chwilę, a potem znika wciągnionym będąc pod wodę, pod którą jednak niepoprzestaje się kręcić, zataczając coraz węższe koła. Kręcenie takowe kończy się na tem, że robiąc coraz mniejsze koła, wrzucony przedmiot przybywa nareszcie do tego punktu, gdzie już siła kręcąca wiru przestaje wpływ wywierać, i wtedy przedmiot ten wchodzi w część spokojną rzeki, wypływa znowu na wierzch, i w dalszym ciągu płynie sobie najspokojniéj. Wszystko to się odbywa szybko, tak, że można powiedzieć, jest to dziełem jednéj chwili.

Otóż pływak, dostawszy się przypadkowym sposobem w wir taki, niech pamięta zachować się jak drzewo martwe, puścić się, jak to mówią, na wolę Bożą, i dać się pochłonąć wirowi, a on go wkrótce bez uszkodzenia wyrzuci napowrót z siebie. Kilka sekund pod wodą, to niczem dla pływaka, tylko należy się starać przedewszystkiem całą przytomność zachować.

---

[1]) Nadesłany nam opis zamku Malborskiego, uzupełniliśmy opisem Deotymy, zamieszczonym w Tyg. Illustr. z r. 1861.

ROZMAITOŚCI.

— Często słyszeć się dają narzekania na kobiety. Narzekania te w ustach mężczyzn są niesprawiedliwością. Kobiety są tylko takiemi, jakiemi mężczyzni ich uczynią. Wpływ moralny męża, w pierwszych latach pożycia małżeńskiego, jest bardzo wielki. Stosowne użycie jego, wykształca charakter kobiety na cały ciąg pożycia małżeńskiego. Oto w tym względzie, pisze jeden nauczyciel—doktór:

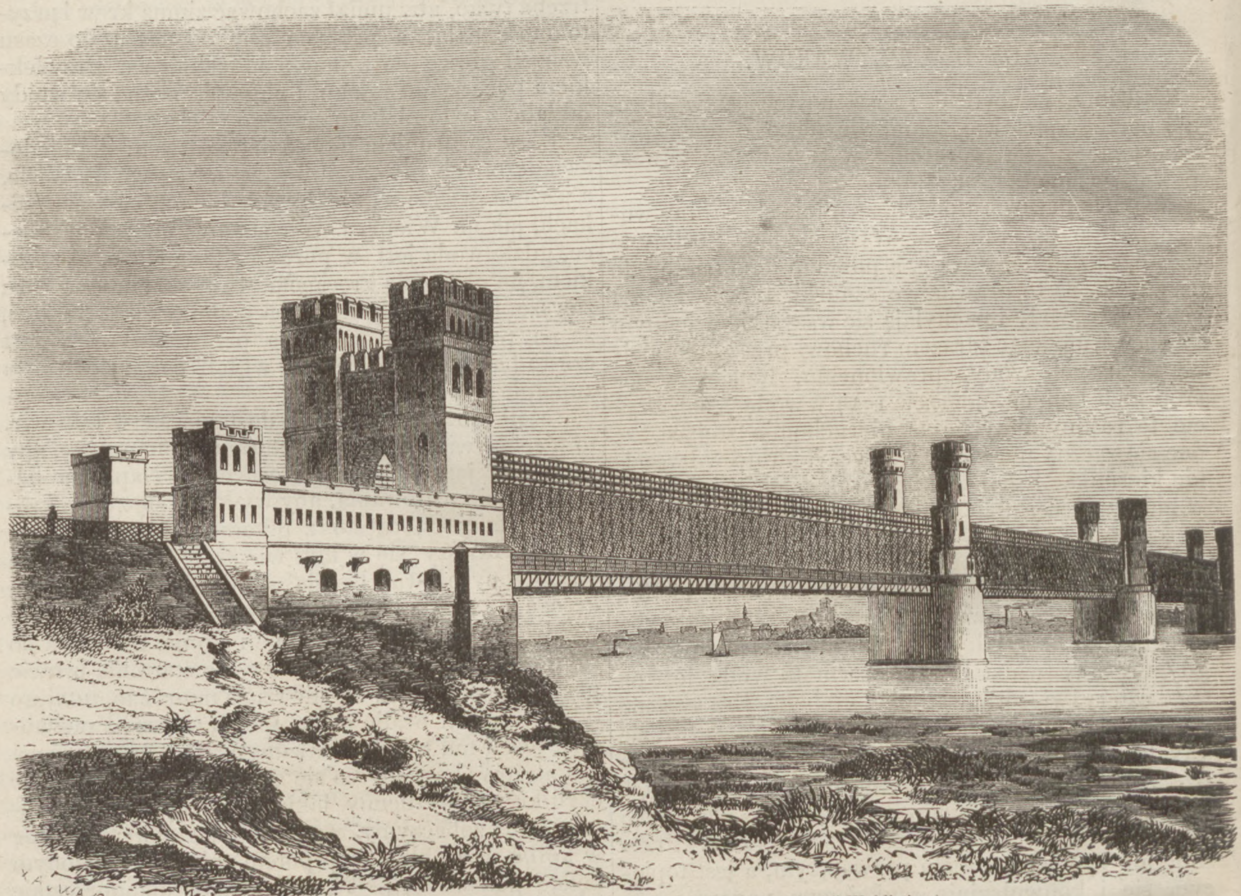
„Dziewica *dobrze* wychowana, wychodząc za mąż, nie ma jeszcze edukacji ukończonéj; w stanie małżeńskiem dopiero, pod kierunkiem rozumnego męża, wiedza jéj rozjaśnia się. Z domu rodzicielskiego wyniosła dziewica z sobą miłość domu, porządku i gospodarności; w domu własnym zostaje naraz panią tego wszystkiego, na co tylko patrzała się pod opiekuńczem okiem matki i do czego skrycie wzdychała. Ta nagła zmiana, jest dla niéj tak obcą, że w pierwszych tygodniach małżeńskiego pożycia, zawsze się jéj zdaje, że jest gościem we własnym domu. Do męża więc należy, wzamian za miłość i poświęcenie się żony dla niego, umieć w niéj poruszyć tę anielską ciszę, aby z świata marzeń, uniesień i tęsknoty, wprowadzić ją w świat rzeczywisty: pracy i rozumu.

Widzimy zatem nowo-zamężną kobietę, w całym rozwoju swéj skrzętności około domowego dobra. Dom jéj, to pieścidełko, wszystko się tam odbywa z ładem i składem; pani domu jest duszą wszystkiego, bo na każdem miejscu cząstkę swéj duszy zostawia. Baczny i rozumny mąż, daje uczuć swéj towarzyszce, że dopiero odkąd z nią połączony, oddycha szczęściem prawdziwem. Ona mu wierzy, ściska go, i odtąd zaczyna go istotnie kochać! — szczęśliwy! Ale godność małżeńskiego stanu, miłość męża dla żony, rychło stają się w nim szlachetną podnietą do wywyższania swéj towarzyszki nad wszystkie kobiety; stara się więc wysoko ją postawić—tam—gdzie myśli jego sięgają, dokąd duch jego goni!

Odtąd, rozpoczyna się edukacja moralna żony. Już i czas znalazł się, parę godzin tylko poświęconych umysłowemu pożytkowi, staje się pokarmem duchownym na całe życie! Ale, bo też kobieta obdarzona jest z łaski Opatrzności dziwną łatwością pojmowania, lub odgadywania najzawilszych i najwznioślejszych zadań, zwłaszcza, jeżeli jéj mentorem jest mąż ukochany."

— W maju roku bieżącego w Alejach Ujazdowskich na drodze bitéj między Rozdrożem a rogatką Mokotowską odbyła się próba *Lokomotywy drożnéj*, pierwszy dopiero raz widzianéj w Warszawie. Lokomotywa ta, poruszana rozumie się parą, jeździć może po każdéj drodze, jak: po bruku, po szosse, po drodze nawet zwyczajnéj. Uciągnie ona tyle co 6 dobrych koni, a koszt jéj wynosi złotych 20,000.

— W ostatnim Nrze donieśliśmy wam o nowem piśmie codziennem p. n. *Kurjer Codzienny*. *Dziś zapowiadając zamieszczenie w dodatku Opiekuna, prospektu*, dzielimy się z wami wiadomością, że współpracownik pisma naszego p. Makowiecki, wydawać będzie od 1go Lipca nowe pismo tygodniowe poświęcone rodzinom Polskim, i dla tego noszące nazwę *Rodzina*. Witamy szczerze, po naszemu, nowy ten organ.



Most pod Tczewem na Wiśle.—(Wycięto w drzeworytni Wiedeńskiéj Waldheima).

Myśli i Zdania.

— Miłość, któréj kto zbytecznie rodzicom, krewnym, naukom, albo samemu sobie udziela, ten ją Bogu wydziera.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 26 Maja (7 Czerwca) 1865 r.